



# PRZYPADKOWE PRZEZNACZENIE

PRZEMYSŁAW SZYSZKA

PRZEMYSŁAW SZYSZKA

PRZYPADKOWE PRZEZNACZENIE

WYDAWNICTWO RED BOOK  
LUBLIN 2015

DLA TYCH, KTÓRZY WE MNIE UWIERZYLI,  
ORAZ, CO WAŻNIEJSZE, DLA TYCH,  
KTÓRZY WIERZĄ WE MNIE NADAL.

I widziałem, gdy zdjął szóstą pieczęć,  
że powstało trzęsienie ziemi i słońce pociemniało  
jak czarny wór, a cały księżyc poczerwieniał jak krew.

I gwiazdy niebieskie spadły na ziemię,  
podobnie jak drzewo figowe zrzuca figi swoje,  
gdy wiatr gwałtowny nim potrząśnie;  
i niebo znikło, jak nikt nie zwój, który się zwija,  
a wszystkie góry i wyspy ruszone zostały  
z miejsc swoich. I wszyscy królowie ziemi  
i możnowładcy, i wodzowie, i bogacze,  
i mocarze, i wszyscy niewolnicy,  
i wolni ukryli się w jaskiniach i w skałach górskich  
i mówili do gór i skał:  
Padnijcie na nas i zakryjcie nas przed obliczem tego,  
który siedzi na tronie, i przed gniewem Baranka,  
albowiem nastał ów wielki dzień ich gniewu,  
i któż się może ostać?  
Objawienie 6:12–17

## ROZDZIAŁ 1

Obudził się w swoim prywatnym apartamencie w Kalifornii, leniwie otwierając zaspane oczy. Nie chciał wstawać z łóżka. Najchętniej leżałby w nim jeszcze przez bardzo długi czas. Na nic nie miał ochoty. Wiedział jednak, że musi coś ze sobą zrobić, lecz czuł, że dopada go prawdziwa depresja.

Leżał sam na swoim ogromnym podwójnym łóżku, patrząc niespokojnie na nieskazitelnie biały sufit. Wokół były porozrzucane stare ubrania, których nie miał sił pozbierać przez ostatnich kilka dni. Męczyły go okropne myśli i żal do samego siebie. Czuł się przepocony i śmierdzący, ze świadomością, że ostatnimi czasy brakło mu nawet najmniejszych sił i chęci, aby się wykąpać.

Pomyśleć, że minął dopiero tydzień, odkąd Mateusz przegrał swoją najważniejszą w życiu walkę... I po co to wszystko? Te wszystkie lata treningów. WSZYSTKO poszło na marne. Tyle starań, tyle poświęceń i na nic? „Płacz na treningu, śmieję się w walce” – powtarzał sobie w myślach, uśmiechając się

głupio. Teraz to zdanie nie miało najmniejszego sensu. Tyle razy dawał z siebie wszystko, nigdy nie przegrał żadnej walki, jedynie wygrywał i remisował, a przy najważniejszym dla niego sprawdzianie dał plamę. Dlaczego akurat teraz na ringu dopadły go te myśli? Takie dziwne uczucie, że musi coś zrobić, coś rozwiązać...

Mateusz trenował boks tajski od dzieciństwa. Było to jedyne w życiu, co go naprawdę pasjonowało i wiedział, że ta pasja przyniesie mu ogromną sławę i pieniądze. W Europie jak na swój młody wiek dokonał już wszystkiego w tej dziedzinie. Wygrywał dziesiątki pojedynków amatorskich, a potem kilkanaście profesjonalnych, zdobył mistrzostwo Wielkiej Brytanii, a potem Europy. Postanowił wyjechać, by poszerzać swoje horyzonty jeszcze bardziej. Myślał na poważnie o Tajlandii, w końcu zawitał jednak do Ameryki, dostając tam poważne propozycje pracy na naprawdę światowych ringach. Tutaj też szło mu wyśmienicie, nie miał sobie równych. Pokonywał prawdziwych gladiatorów... Do czasu.

Czekała go tylko jedna najważniejsza walka w życiu. Jego rywalem miał być zawodnik z Tajlandii. Rzekomo numer jeden na świecie. Ta walka, która zgromadziła łącznie na trybunach

i przed telewizorami ponad 95 milionów ludzi w samej Ameryce, miała być najważniejsza w historii, a jej celem było rozstrzygnięcie, który z dwójki gladiatorów jest najlepszym thai bokserem na naszej planecie. Przez rok Mateusz się przygotowywał do tego jednego dnia. Nie chciał nikogo zawieźć. Nie mógł. Szczególnie siebie. Tyle treningów, tyle wyrzeczeń, nie mógł dać plamy. Był świetnie przygotowany zarówno fizycznie, jak i psychicznie. To gwarantowało mu sukces.

Wyszedł jak zawsze na ring. Wyluzowany, pewny siebie. Żadnej tremy. Nie czuł na swoich barkach tej presji. Chciał po prostu wyjść i zrobić swoje. Tego się uczył na treningach i zamierzał to wykorzystać. Żadnych emocji. Żadnych negatywnych myśli. Po chwili, gdy tylko ucichły brawa dla Mateusza, przy dźwiękach tajskiej muzyki wyszedł jego rywal. Niewielkiego wzrostu mężczyzna o dość solidnej posturze.

Sam ring nie różnił się specjalnie od wielu innych. Był wielki i drewniany. Każdy krok na nim odbijał się echem po sali. Trybuny dosłownie pękały w szwach. Bilety na tę galę były wyprzedane na wiele miesięcy przed samym wydarzeniem. Wszystkie miejsca były zajęte. Przyszli naprawdę różni ludzie: wpływowi biznesmeni, początkujący sportowcy, weterani, gru-

basy czy znani aktorzy. Powietrze było parne. Ciężko było oddychać, zważywszy iż w jednym zamkniętym pomieszczeniu mieściły się tysiące osób.

W końcu zabrzmiał gong.

Walka się rozpoczęła. Już od pierwszych sekund Mateusz nacierał na przeciwnika jak burza. Tajlandczykowi pozostawało się tylko bronić. Gdy próbował kopnąć low-kickiem lub uderzyć lewym sierpem, Mateusz natychmiast kontratakował, wyprowadzając potężne ciosy w głowę lub korpus przeciwnika. Imponujący widok. Walka od samego początku była dość nierówna i przeważała na korzyść chłopaka. Profesjonalny Tajlandczyk nie miał zbyt dużych szans. Już w pierwszej rundzie przeciwnik Mateusza dwa razy leżał na deskach! Piękne dwa knock-downy po perfekcyjnych ciosach na wątrobę.

Chłopak mógł być z siebie zadowolony, lecz nie chciał spocząć na laurach. W drugiej rundzie zamierzał wykończyć przeciwnika i wtedy dopiero mógłby myśleć o jakimkolwiek odpoczynku. Mateusz wyszedł na środek ringu i czekał na rywala, który opatrywany i strasznie zmęczony siedział jeszcze na krzeselku w narożniku. Tajlandczyk miał rozcięty łuk brwiowy i bardzo krwawił. Według Mateusza wystarczyło tylko dwa-

dzieścia sekund, żeby jego przeciwnik leżał na deskach i nie mógł już wstać przez długi czas, czyli przynajmniej do końca walki. No, może nawet piętnaście.

Mateusz, czekając spokojnie i z opanowaną miną na drugą rundę walki, rozglądał się po widowni. Zastanawiał się, ile osób zobaczy jego wygraną. Trybuny były tak wypełnione po brzegi, że oddychało się coraz ciężiej. Duszące powietrze setki lub tysiący ludzi przebywających tam dawało się we znaki, lecz bardziej szkodziły Tajlandczykowi, który mimo świetnej kondycji po pierwszej rundzie był wyczerpany.

Wtedy stało się coś dziwnego. Coś, czego Mateusz nie mógł zrozumieć ani wtedy, ani później. Nie potrafił. Tym dziwnym czymś był pewien mężczyzna, który stał w tłumie na widowni i się po prostu nie ruszał. Nie dopingował, nie był zainteresowany walką, a według chłopaka nawet nie mrugał. Mężczyzna po prostu stał i patrzył wprost na Mateusza. Bez emocji ani ruchu. Chłopak nie mógł zrozumieć tego, ale po prostu go to przeraziło. Nie wiedział czemu, widok tego mężczyzny, ot tak, ni stąd, ni zowąd, przywołał w głowie Mateusza nagle mnóstwo wspomnień, których właściwie nie chciał pamiętać. Nie podczas walki...



Rozległ się dźwięk oznaczający rozpoczęcie drugiej rundy. Wszyscy go słyszeli, tylko nie Mateusz. Nie zwracał na nic uwagi. Ogarniało go coś w rodzaju strachu i niepokoju, a jednocześnie nagła chęć wspomnień i sentymentów. Nie potrafił tego zrozumieć, ale wyczuwał obecność swojego starszego brata. Nie wierzył w to.

– To niemożliwe. Przecież zaginał prawie cztery lata temu... – szepnął do siebie.

Wtedy Mateusz dostał silnym technicznym sierpowym ciosem w twarz tak, że aż się zachwiał na nogach. Jego ciało poczuło ten cios, lecz umysł nie.

– A jeśli mnie teraz ogląda? Jeśli zobaczy, jak wygrywam? Ciekawe, co się z nim teraz dzieje...? – myślał chłopak, będąc właśnie w innym świecie i przyjmując grad ciosów na twarz.

Los w walce automatycznie się odwrócił. Ludzie zaczęli buczeć i wykrzykiwać obelgi i przekleństwa. Inni z kolei starali się zachęcać Mateusza do walki, lecz niestety nic to nie dało. Ich zawodnik po prostu stał zamroczony i pozwalał, aby przeciwnik okładał go pięściami do woli i od czasu do czasu kopał po żebrach albo nawet po głowie.

Po chwili chłopak leżał już bezradny na ziemi. Nikt nie mógł uwierzyć, że faworyt pojedynku, który był o krok od awansu na niepodważalnego mistrza świata, tak łatwo się poddał.

Tajlandczyk odbiegł do jednego z narożników i rozpoczęło się liczenie sędziego. Mateusz leżał na ziemi i nadal nie wiedział, gdzie się znajduje. Zdawało mu się, że siedzi z bratem przy piwie cztery lata temu, kiedy to ostatni raz widział go całego i zdrowego. Miał wrażenie, że musi go odnaleźć, rozwiązać zagadkę jego zaginięcia. To jedyne, o czym myślał.

Liczenie dobiegło końca. Mateusz oficjalnie przegrał swoją najważniejszą walkę w karierze zawodowej. Jeszcze długo po oficjalnym werdykcie nie mógł dojść do siebie.

\* \* \*

Młody mężczyzna siedział, w złym nastroju, na swoim łóżku w apartamencie w jednym ze stanów Ameryki. Nie mógł zrozumieć, dlaczego przegrał, dlaczego tak się zhańbił i dał taką plamę. Starał się rozgryźć, czemu właściwie w tamtym momencie zaczął myśleć o poszukiwaniu brata, zaraz po tym jak zobaczył

tego spokojnego mężczyznę. Przecież od czterech lat nie widział się z nim tuż po tym, jak zaginął w dziwnych okolicznościach, a od dwóch lat skupiał się tylko na wygrywaniu i nawet można powiedzieć, że zapomniał o całej rodzinie. Liczyła się tylko kariera, która naprawdę świetnie się rozwijała. Do czasu tej feralnej walki, którą zapamięta do końca swoich dni...

W mieszkaniu rozległ się głośny dzwonek do drzwi. Mateusz wstał z łóżka i szedł bardzo powolnym krokiem, aby je otworzyć.

Apartament był naprawdę duży, udekorowany w nowoczesnym stylu. Architekt musiał się nieźle tu napracować, a właściciel wyłożyć sporo pieniędzy na to wszystko. Wszędzie było pełno obrazów, posągów i niewielkich srebrnych szafeczek.

Ktoś zadzwonił jeszcze raz i dłużej przetrzymał dzwonek.

– Idę, kurwa! – krzyknął zdenerwowany Mateusz, kulejąc, przez korytarz.

Był naprawdę w kiepskim nastroju. W końcu dopiero co przegrał swoją najważniejszą w życiu walkę, a ostatni tydzień spędził nie wychodząc prawie z łóżka. Gdy dotarł do drzwi, zaspany, otworzył je. W progu stała jakaś młoda dziewczyna z dość mocnym makijażem. Farbowana blondynka z krwiście

czerwonymi ustami, w krótkiej czarnej spódniczce i na szpilkach, dzięki którym była o kilka centymetrów wyższa od chłopaka.

– Cześć. Co tam u ciebie, mój kochany? – zapytała, rzucając mu się raptownie z ekscytacją na szyję.

– Odczep się. Nie mam nastroju – burknął Mateusz, odpychając ją.

– Nawet na małe co nieco? – Kobieta uniosła swoją obcisłą fioletową koszulkę do góry, nie czekając na słowa protestu.

Oczom chłopaka ukazał się teraz nagi, dość sporych rozmiarów biust dziewczyny, z którą uprawiał seks jakiś czas temu. Była to szwedzka modelka, która miała sesję właśnie w Kalifornii i postanowiła tu zostać trochę dłużej. Poznała Mateusza po jednej z jego pokazowych walk i uznała, że musi go zdobyć. Jeszcze tego samego wieczoru udało jej się to i uprawiali długi oraz namiętny seks, który powtarzali jeszcze kilka razy. Teraz jednak chłopak był pogrążony w depresji i nie myślał o niczym innym, tylko o swojej przegranej walce.

– Powinnaś już iść – powiedział cichym, wręcz zawiedzionym głosem, odwracając się.

– Zbywasz mnie ot tak? Po tym wszystkim!?! – zdenerwowała się. Mówiąc to, wydeła usta tak, że bardzo wyraźnie można było zauważyć, że zostały one stworzone przez lekarza. Zresztą tak samo jak piersi.

– Po czym? To był tylko seks! – krzyknął Mateusz, po czym odepchnął kobietę, żeby wyszła z mieszkania.

– Wiesz co? Dałeś ciała w ostatniej walce i nie możesz się z tym pogodzić. Ciota z ciebie – powiedziała oburzona modelka, po czym wyszła, trzaskając za sobą drzwiami najmocniej, jak tylko potrafiła.

Mateusz ciężko westchnął. Ta wizyta jeszcze bardziej wytrąciła go z równowagi. Wiedział jednak w duchu, był wręcz pewien, że już nie zobaczy tej pomyłonej kobiety i ta myśl go nieco uspokoiła.

Poszedł ospały do łazienki. Gdy już tam dotarł, oparł ręce o umywalkę i z pogardą spojrzął w lustro. Jego pozbawiona zarostu twarz miała jeszcze pełno śladów po walce sprzed tygodnia. Była cała poobijana, a w niektórych miejscach nawet rozcięta. Z resztą ciała nie było lepiej. Na jego wyrzeźbionym brzuchu także malowały się fioletowe sińce, a pod wątrobą było widać niezłe rozbiecie, które niesamowicie go bolało. Ma-

teusz stał tak przez chwilę i zastanawiał się, jak mogło do tego dojść. Nigdy w życiu nie czuł się taki bezradny i osamotniony.

Stał tak jeszcze kolejne kilka minut, wpatrując się w swoje piwne oczy, jakby szukał w nich rozwiązania swojego problemu. W końcu poczuł potrzebę przemycia swojej szorstkiej (bez zarostu) twarzy. Nachylił się nad umywalką, ochlapał się wodą i miał dziwne przeczucie, że gdy się podniesie i spojrzy w lustro, to kogoś zobaczy. Jakaś postać będzie stała za nim, gotowa go zamordować. Może to ten sam mężczyzna sprzed tygodnia?

Mając zamknięte oczy, z mokrymi powiekami, uśmiechnął się do siebie. „Jesteś pierniczonym tchórzem. Popadasz w paranoję, stary” – pomyślał, podnosząc głowę, po czym otworzył oczy i zerknął w lustro.

Wtedy ktoś niespodziewanie zadzwonił do drzwi tym samym irytującym dzwonkiem.

Mateusz, przestraszywszy się, zadziałał odruchowo i uderzył pięścią w nieszczęsne lustro, rozbijając je na kawałki. Gdy zorientował się, że przestraszył go dźwięk, a nie widok w lustrze, było już za późno. Zaczął ciężko oddychać. Brzęczenie tego irytującego dzwonka się powoilo.

– Kto to, kurwa, może być? – zapytał się Mateusz, po czym zebrał się w sobie i ruszył do salonu, a potem do korytarza, aby zdenerwowany otworzyć i „miło przywitać” gościa.

W progu stał dość niski i gruby mężczyzna z łysiną na głowie i ciemnymi przeciwsłonecznymi okularami nad czołem. Był to menedżer Mateusza, który organizował mu każdą walkę i w imieniu swojego fightera podpisywał wszystkie umowy i kontrakty. Miał wolną rękę w sprawach biznesowych i sportowych, jeśli chodzi o Mateusza.

– Co tu robisz? – zapytał zdziwiony chłopak, opierając się bezradnie o drzwi. Z jego prawego nadgarstku leciała strużka krwi, kapiąc co kilka sekund na drewniane zimne panele, rozbrzgując się w momencie zetknięcia z podłogą.

– Chcę pogadać – padła odpowiedź.

Niski mężczyzna miał głośny, wręcz piskliwy, ale pewny siebie głos. Nie był typem człowieka, któremu się odmawia.

– Jestem zajęty.

– Czym? Chyba nie jesteś z panienką? Przed chwilą spławiłeś Irenę. Wiem, bo sam ją wysłałem, żeby najpierw cię wprawiła w dobry nastrój, byśmy potem mogli na spokojnie porozmawiać – oznajmił menedżer rzeczowo.

– Po prostu nie miałem ochoty – burknął Mateusz, przewracając niecierpliwie oczami. Wiedział, że jego rozmówca zauważył krew na nadgarstku, lecz nic sobie z tego nie robił.

– Co się właściwie stało wtedy na ringu?

– Nie chcę o tym gadać...

– Co jest z tobą?! Zawsze byłeś wygadany, żartowałeś ze wszystkiego, a teraz co? Przegrywasz walkę, splawiasz zajębi-stą laskę, nie masz ochoty na rozmowę...

– Mam gorszy dzień.

– W dniu walki też miałeś gorszy dzień? – Menedżer był najwyraźniej poirytowany. Tak się go nie traktuje.

– Nie wiem, co się ze mną działo. Do teraz nie mam pojęcia.

– Lekarze mówili, że wszystko OK – nie dawał za wygraną niski mężczyzna.

– To było coś w mojej głowie, zamroczyło mnie, a nie dostałem jeszcze żadnego ciosu.

– Nie rób mi tego. Problemy z głową? Teraz?! – krzyknął menedżer, łapiąc się za głowę na znak paniki.

– Myśl sobie, co chcesz...



– Patrz, co tu mam – już znacznie spokojniej i ciszej powiedział mężczyzna, wyciągając pogniecioną kartkę papieru z kieszeni swojej szarej marynarki.

– Co to jest? – zapytał Mateusz beznamiętnie, jakby nie był zainteresowany, ale kierował się jedynie grzecznością.

– To twój bilet do odzyskania twarzy.

– To znaczy?

– Tutaj mam sfalszowaną kopię badań od pewnego lekarza. W sumie to mojego zięcia. Z badań lekarskich „zrobionych” przez niego wynika, że tamtego dnia ktoś ci dorzucił środek zamulający do wody, że ktoś sabotował twoją walkę. Znajdzie się jakiegoś frajera, zrzuci winę na niego, a ty za kilka miesięcy mógłbyś z czystym od przegranych kontem pokonać tego Tajlandczyka na tym samym ringu w swoim niepowtarzalnym stylu! – mówił podekscytowany, szczerząc swoje idealnie białe zęby, za które zapłacił fortunę, głównie z procentów, jakie miał za wygrane walki Mateusza.

– Nie chcę.

Wtedy menedżer się zdenerwował. Uderzył otwartą dłonią fightera w twarz. Ten się nawet nie poruszył.

– Czy ty do reszty ocipiałeś?! – krzyczał mężczyzna. – Ja tu sobie flaki wypruwam, ryzykuję więzieniem, ratuję ci karierę, a ty co? Masz mnie w dupie?

– Może... – wyszeptał Mateusz. Naprawdę chciał już zostać w końcu sam.

Kałuża krwi na ziemi znacznie się powiększyła. Stopy chłopaka były pokryte niewielkimi odpryskami czerwonej mazi uderzającej o panele.

– Wiesz co? Pierdol się! – krzyknął zdenerwowany menedżer. – Odezwij się, jak ci przejdzie. Numer znasz, ale pamiętaj, że moja oferta nie będzie czekać wечно na twoją decyzję – dodał, rzucając kartkę na ziemię, po czym wyszedł.

– Co za ludzie... – wyszeptał chłopak.

Spojrzał na kartkę, lecz jej nie podniósł. Zaśmiał się. Był to śmiech człowieka zdesperowanego, człowieka, który stracił jakąkolwiek nadzieję, człowieka, który stracił sens życia. Było mu już wszystko jedno. Jakby cała jego kariera nie miała w tym momencie najmniejszego znaczenia. Stracił całkowicie wolę walki. Miał wrażenie, że bezpowrotnie. Czym jest kariera, jeśli nie ma się z kim tego dzielić? Nawet teraz, gdy tak potrzebował... Czego właściwie? Sam nie wiedział.

Wtedy przymknięte drzwi powoli się poruszyły, jakby ktoś je pchał do środka palcem, chcąc delikatnie i niepostrzeżenie wejść do środka.

– Zapomniałeś czegoś? – zapytał Mateusz, choć był pewny, że to tylko przeciąg, a jego menedżera już tam dawno nie ma.

Nikt jednak nie odpowiedział. Drzwi otworzyły się jeszcze szerzej. W progu nie stał jednak menedżer, jak mógłby się spodziewać, lecz mężczyzna, którego widział tydzień temu wśród publiczności obserwującej jego walkę. Facet stanął naprzeciw niego bez słowa. Po prostu stał i obserwował przerażenie w oczach Mateusza. Miał na sobie czarną marynarkę, idealnie wyprasowaną, z czerwonym, wyrazistym krawatem. Spodnie i buty też nie odstawały od reszty.

Pierwsze wrażenie Mateusza, było takie, że ów facet chce go zabić, że jest z mafii i dostał na niego zlecenie. Z drugiej jednak strony, gdyby chciał to zrobić, wykonałby zadanie już dawno, nie czekając tyle. Ta z pozoru zwyczajna wizyta była przerażająca. W mężczyźnie było coś dziwnego i chłopak to czuł, ale nie potrafił powiedzieć, co tak naprawdę.

– Kim jesteś? Znamy się? – zapytał Mateusz. – Wiszę ci kasę albo stuknąłem twoją panienkę? – dodał, starając się zachować pozory pewności siebie i lekkiego humoru.

– Nie. Nic z tych rzeczy – padła spokojna odpowiedź.

– To po co tu jesteś? – zaniepokoił się już Mateusz.

– Chcę ci pomóc.

– Ciekawe jak? – parsknął lekceważąco.

– Wiem, że w głębi duszy chcesz odnaleźć brata – powiedział tajemniczy mężczyzna, uśmiechając się szyderczo, gdy ujrzał reakcję swojego rozmówcy. – Możemy poszukać go razem. – Miał długie, spięte gumką czarne włosy oraz pekaesy na twarzy tego samego koloru. Podkreślało to jego ciemne, mroczne oczy i krzaczaste, dziwne brwi.

– Skąd o tym, do cholery, wiesz?! – wykrzyknął z przerażeniem Mateusz. Było to jedyne, co mógł wydusić.

Czuł niezrozumiały strach przed tajemniczym nieznajomym. Wiedział, że jego przeciwnik nie ma żadnej broni, a to w końcu ON walczył o miano najlepszego wojownika na świecie, więc w razie ataku bez problemu by wygrał. Więc o co chodziło? Może o barwę głosu tego mężczyzny i sposób, w jaki patrzył, jakby miał śmierć w oczach. Mateusza niepokoiło też, skąd on

wiedział, że szuka brata. Przecież to niemożliwe, że czytał w myślach.

„To niedorzeczne” – pomyślał.

– Po prostu wiem i już – odpowiedział mężczyzna na pytanie Mateusza. – W głębi serca chcesz go odnaleźć. Myślałeś, że kompletnie o nim zapomniałeś, że go nie pamiętasz i nic cię nie obchodzi. Prawda jest taka, że jesteś ciekaw, co się z nim teraz dzieje, gdzie przebywa i dlaczego przestał się do ciebie odzywać. Więzy krwi są niezwykle ważne w dzisiejszych czasach. Dla ciebie szczególnie, choć myślisz, że jest inaczej. Ja także go szukam. Możemy sobie nawzajem pomóc – powiedział nieznajomy, ze stoickim spokojem patrząc ciągle prosto w oczy swojemu rozmówcy.

– A ty z jakich powodów chcesz go znaleźć? – zapytał Mateusz, chcąc wy badać jak najwięcej.

– Powiedzmy, że mam do niego interes...

– Jaki?

– Nieważne. Ty masz swoje powody, ja mam swoje – oznajmił mężczyzna.

– Czemu potrzebujesz mojej pomocy? Ja nic nie wiem – zdziwił się Mateusz.

– Ale ja wiem – odpowiedział nieznajomy. – Nie zrozumiesz tego, ale nawet wiedząc gdzie twój brat jest, żeby się do niego dostać, potrzebuję kogoś, kto go doskonale znał – dodał.

– Nieważne. Nie wierzę w coś takiego – oznajmił Mateusz.  
– Wyjdź.

– Dobrze. Rozumiem. Potrzebujesz czasu do namysłu – powiedział nieznajomy, poddając się dziwnie zbyt szybko. – Na kartce leżącej na ziemi będzie mój numer telefonu – dodał, po czym udał się do wyjścia. – Jak będziesz chciał zobaczyć wreszcie brata po czterech latach... zadzwoń.

– Czekaj! Jeśli zadzwonię... jak mam na ciebie mówić? Jak się nazywasz? – zapytał Mateusz, chcąc poznać choć imię swojego tajemniczego rozmówcy.

– Eryk – odpowiedział przerażający mężczyzna. – Mów mi po prostu Eryk... – dodał, po czym szybko opuścił apartament.

Mateusz został sam. Nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Miał w głowie mętlik. Spojrzał na kartkę leżącą na ziemi i zastanawiał się, jak poukładać tę sytuację. Uznał, że nic dziwniejszego go tego dnia nie spotka. Mylił się. Dowiedział się o tym już kilka sekund później, gdy zorientował się, że ani na

prawym nadgarstku, ani na panelach nie ma nawet śladu krwi, a jego pięść jest nienaruszona...

\* \* \*

Moris wskoczył właśnie do swojego myśliwca. Był niesamowicie podekscytowany. Wiedział, że ten dzień w końcu nastąpi. Domyślał się, że może dzisiaj zginąć, jednak podniecenie przejęło nad nim całkowitą kontrolę i nie chciał dopuścić tych myśli do siebie. W głębi duszy od rozpoczęcia drugiej wojny światowej niespełna rok temu czekał na tak wielką bitwę powietrzną, jaka miała się właśnie rozegrać. Dlatego gdy tylko usłyszał dźwięki syren, rzucił się do swojego myśliwca, żeby jako jeden z pierwszych zestrzelić niemieckie lub włoskie samoloty. Był właściwie jednym z nielicznych (bo tylko 5%) Polaków pilotów, którzy wzięli udział w Bitwie o Anglię, a pokazali się naprawdę z jak najlepszej strony. Dywizjon 303 to było naprawdę coś. Moris, który był najbardziej porywczym i nieokrzesanym pilotem z całej grupy, już nie mógł się doczekać, żeby roztrzaskać jakąś wrogą maszynę. Kolejny raz nie dopuszczał nawet myśli, że sam może zginąć. Zdawał sobie z tego sprawę, ale mimo to uznał to bardziej za strzelanie do

ruchomego celu niż obustronną bitwę. W swoim mniemaniu był w końcu profesjonalistą walczącym z wrogiem, który rok wcześniej zaatakował jego piękny kraj. Tylko tak mógł walczyć, poza Polską zaciągając się do brytyjskiego lotnictwa. Nie żałował swojej decyzji ani przez moment.

Odpalił maszynę i wyruszył. Razem z nim wystartowało jeszcze kilkudziesięciu innych pilotów. Po pół godzinie dotarł na miejsce bitwy. Jego brytyjscy koledzy byli pierwsi, a walka trwała już dłuższą chwilę.

– Kurna. Jak zwykle spóźniony... – powiedział do siebie. – Ale pokażę im, jak się robi prawdziwy rozpierdol – dodał, uśmiechając się w duchu.

– Trzymajcie się planu – rozkazał jakiś głos w trzeszczących słuchawkach.

– Mój plan jest taki, żeby skopać im tyłki – z zadowoleniem powiedział do siebie Moris. Był dość młodym, prawie łysym mężczyzną o ciemniejszej karnacji skóry i kwadratowej szczękę pozbawionej zarostu.

„Moris” był jego pseudonimem wymyślonym przez jego kolegów z wojska jakiś czas temu. Sam nie wiedział, dlaczego został tak ochrzczony, ale mu się to spodobało. Moris od za-



wsze wołał pseudonimy od swojego prawdziwego imienia czy nazwiska. Czuł się wtedy wyróżniany w pewnym dziwnym, znanym tylko jemu sensie.

Chłopak sterował swoją maszyną z niesamowitą gracją. Już po kilku minutach dopadł pierwszego bombowca i z łatwością go zestrzelił. Trafiła mu się wyśmienita maszyna, szybki i sprawny myśliwiec, na którym trenował od kilku miesięcy, od czasu rozpoczęcia wojny. Była to najlepsza maszyna lotnicza jak na 1940 rok. Czuł się wyróżniony, prowadząc ją, bowiem był to jedyny myśliwiec swego rodzaju, przewyższający technologią wszystko inne. Była to eksperymentalna maszyna, o której nawet nie słyszano później i której nigdy nie przejęto przez wrogie siły ani nie opatentowano. Głównie dlatego, że została doszczętnie zniszczona tego dnia...

Moris walczył w powietrzu już dobrych kilka godzin. Był wycieńczony. Myślał o powrocie do bazy, lecz nie chciał opuścić pozycji. Nie było takiej opcji. Miał już na swoim koncie kilka zestrzeleń, najwięcej z całej grupy w powietrzu, ale nie zamierzał spocząć na laurach i był żądny więcej krwi albo raczej zepsutych maszyn.

Na niebie panował prawdziwy chaos. Po jednej stronie armia składająca się z Brytyjczyków, Kanadyjczyków, Polaków i innych sojuszników, a po drugiej myśliwce i bombowce Włochów i III Rzeszy. To dopiero początek bitwy, a straty były widoczne już po obu stronach, choć Brytyjczycy od samego początku zdecydowanie prowadzili. Mieli lepsze dowództwo i odważniejszych wariatów. Jednym z nich był właśnie Moris.

Miał on teraz niestety pewne trudności. Zauważył bowiem, że na ogonie siedzi mu jeden z myśliwców wroga. Robił różne manewry i próbował go jakoś zmylić, lecz przeciwnik był na to zbyt bystry. Na domiar złego już po chwili Morisa ścigały nie jeden, lecz trzy wrogie maszyny.

Chłopak wiedział, że jeśli czegoś natychmiast nie zrobi, straci życie za chwilę, bo jego myśliwiec się rozleci niebawem pod naciskiem strzał. Moris postanowił zrobić coś ryzykownego i oddalić się znacznie od pola bitwy. Nie żeby był tchórzem, ale uznał, że skoro i tak ma zginąć, jego sojusznicy na pewien czas będą mieli trzy myśliwce mniej, które będą im zagrażać. Jak pomyślał, tak też zrobił, i już po chwili, robiąc manewr w lewo, zaczął się oddalać jak najdalej się tylko dało.

Podziałało. Spojrzał na radar. Widział na nim wszystkie trzy myśliwce pędzące za nim. Zaczął się ostrzał. Moris zastanawiał się, co mógłby zrobić, żeby przechylić szalę wygranej na swoją stronę. W tym momencie zauważył dwie rakiety lecące w jego stronę. Na szczęście zareagował w porę i udało mu się uniknąć obu pocisków. Postanowił kolejny raz zaryzykować. Zrobił manewr o 180 stopni i ustawił się naprzeciw trzech wrogich maszyn. Zaczął strzelać i sam wypuścił jedną rakietę. Jego przeciwnicy też nie byli dłużni. Wszystko stało się dosłownie w zaledwie pięciu sekundach. Na ziemię runęły trzy myśliwce, prawie jednocześnie. Dwa niemieckie i jeden, który pilotował Moris. Teren był najwyraźniej na odludziu, możliwe że to jakieś zapomniane pole golfowe. Wszystkie trzy myśliwce na nim się rozbiły. Jeden z niemieckich wybuchł, uderzając o ziemię, lecz drugi wrogi, jak Morisa, poleciał na wprost, cudem nie rozwalając się na małe kawałeczki. Jednak trudno było powiedzieć, czy ktokolwiek to przeżył. Trzeci niedraśnięty niemiecki myśliwiec na błękitnym bezchmurnym niebie odleciał w stronę, gdzie toczyła się bitwa. Nad polaną unosiła się smuga dymu. Nietknięty krajobraz miał teraz zadrę w postaci dwóch roztrzaskanych myśliwców i jednego, który eksplodował, a jego odłamki podlatywały z hukiem w różne części polany.

Bitwa o Anglię musiała się dalej toczyć już bez obecności Morisa... Fizycznej lub duchowej.

## ROZDZIAŁ 2

Była 7 nad ranem. Emilia nie mogła spać. Od bardzo długiego czasu miała problemy ze snem. Jeśli udało jej się zasnąć na trzy lub cztery godziny w ciągu doby, był to prawdziwy cud. Nie pomagały nawet niesamowite ilości tabletek nasennych, którymi się ciągle faszerowała. Zbyt dużo rozmyślała. Setki myśli na minutę kłębiły się w jej głowie. Nie mogła się ich pozbyć nawet na kilka sekund. Noce były zdecydowanie najgorsze. Wtedy czuła się naprawdę samotna i smutna. Jakby nikogo na świecie nie obchodziła. Nikt się nie interesował jej osobą ani nikt za nią nie tęsknił. A przecież jeszcze nie tak dawno temu była taka szczęśliwa... Nie przypuszczała, że kiedykolwiek się to wszystko zmieni i obróci o 180 stopni. Nocami przypominała sobie sytuacje i wydarzenia sprzed tamtego zdarzenia. Najgorzej, że miała zaniki pamięci i nie wiedziała właściwie, czemu znalazła się tutaj, w tym domu. Oczywiście, znała historię tego, co się z nią działo po tym, gdy ją odnaleziono, ale nie miała pojęcia, dlaczego była nieprzytomna w sa-

mym środku lasu. Jedyne, co pamiętała, to że pojechała ze swoim chłopakiem na wycieczkę jego samochodem. Potem w głowie miała tylko krzyki i zapach smrodu. Nic więcej nie pamiętała.

Leżała teraz w błękitnych spodniach od pidżamy i zielonkawej koszulce na ramiączkach ze sporym dekoltem. Jej ładna, choć ostatnio zbyt blada twarz zatrzymała grymas smutku. Rozczochrane długie, ciemne blond włosy przypominały jej o zaginionym chłopaku, który często powtarzał, aby nigdy ich nie ścinała. Wiele rzeczy przywoływało masę wspomnień, na przykład kryształowy naszyjnik sięgający do jej dekoltu, który dostała na rocznicę kilka lat temu, lub pieprzyk na szyi, który według chłopaka dodawał jej uroku.

Wtedy do pokoju weszła Paulina, jedyna koleżanka (wręcz przyjaciółka) Emilii, osoba, która ją znalazła w lesie i przygarneła do siebie. Od tamtego pamiętnego dnia obie kobiety mieszkały razem. Gospodyni była strasznie chuda i niska. Jej rude włosy i piegi dodawały uroku kościstym policzkom, podobnie jak uśmiech, który prawie nigdy nie schodził z jej twarzy.

– Znowu bezsenna noc? – zapytała promiennie od progu.

– Niestety...

– Nie powinnaś tyle rozmyślać.

– Proszę. Powiedz mi jeszcze raz, jak to się stało, że mnie znalazłaś – poprosiła Emilia, podnosząc się i siadając na łóżku.

– Ech. Mówiłam ci to już dziesiątki razy – odpowiedziała niechętnie Paulina, poprawiając odruchowo swoje rude włosy.

– Wiem, ale za każdym razem mam nadzieję, że przypomnę sobie coś jeszcze – męczyła.

– No dobrze... – Rudowłosa dziewczyna doskonale wiedziała, że jej przyjaciółka i tak nie odpuści. Westchnęła więc i zaczęła opowiadać rutynowo historię, tak jak codziennie o poranku bez dnia wyjątku. – Pewnego słonecznego dnia byłam sama w lesie na grzybach. Miałam już dość duże wiadro podgrzybków i niewielką reklamówkę prawdziwków. Po kilku godzinach wracałam powoli w stronę autostrady, skąd mieli mnie odebrać znajomi. Wtedy zauważyłam ciebie. Leżałaś cała zakrwawiona w trawie. Dobiegłam do ciebie i ocuciłam przerażona. Żyłaś. Nic nie pamiętałaś. Pytałaś tylko, gdzie jest twój chłopak i co się stało. Nie potrafiłam ci odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Zostawiłam cię i pobiegłam w stronę autostrady, gdzie byli moi znajomi. Zawołałam ich

i wróciliśmy po ciebie. Byłaś znowu nieprzytomna. Załadowaliśmy cię do samochodu i przewieźliśmy tutaj. Resztę pamiętasz – powiedziała Paulina prawie na jednym wydechu.

– Czemu właściwie nie zawieźliście mnie do szpitala ani nic z tych rzeczy? – zapytała Emilia jak codziennie, każdego poranka.

– Nie wiadomo, co by z tobą zrobili. Nie wiemy, co stało się w tamtym lesie. Równie dobrze mogliby cię oskarżyć o morderstwo...

– Mojego chłopaka...? – Emilię przerażała ta myśl. Zrobiło jej się nagle gorąco, a ciało przeszły dreszcz. Poczowała też dziwne swędzenie w okolicach głowy, jakby ta myśl była czymś przeklętym, czymś zakazanym.

– Tak – przytaknęła Paulina. – Wiem, że to nie jest na miejscu, ale prawdopodobnie on nie żyje i w głębi serca też o tym wiesz – dodała po chwili zawahania, kładąc swoją kościstą dłoń na kolanie przyjaciółki.

– Nie widziałam jego ciała, więc nie mam pewności i nie wiem, jak jest. Wierzę, że nic mu się nie stało i że mnie ciągle szuka. Ja powinnam też poszukać jego! – krzyknęła Emilia, podrywając się na baczność.



– Nie możesz.

– Dlaczego?! – wykrzyknęła oburzona.

– Jutro go poszukamy razem – powiedziała Paulina spokojnie, odgarniając swoje rude włosy na plecy.

– Codziennie ci mówię, że chcę go szukać, a ty codziennie odpowiadasz mi, że jutro! Ile ja już tu jestem? Pół roku? Rok? Mam tego dość! – histeryzowała Emilia.

– Uspokój się.

– Jak mam być spokojna? Nie wiem, gdzie jest mój chłopak, nie wiem, co się wtedy wydarzyło, nic, kurwa, nie wiem!

– Krzykiem nic nie zdziałasz – mówiła opanowanym głosem Paulina.

– A czym zdziałam? – zapytała Emilia, wiedząc, że za chwilę zacznie płakać.

– Obiecuję ci, że wkrótce naprawdę wyruszymy poszukać twojego chłopaka. Cały czas czekam na jakieś informacje. Poszukuję go w internecie, ale na razie nie ma żadnych nowych wieści. Za parę dni powinnam coś wiedzieć i od razu dam ci znać. Obiecuję.

– Dobrze.

– Nie martw się. Wszystko będzie OK.

– Mam nadzieję – odpowiedziała już bez emocji Emilia, siadając z powrotem na łóżku.

– Idę zrobić nam jakieś śniadanie. – Paulina, uśmiechając się, chciała wyjść z pokoju, uznając tę nieprzyjemną rozmowę za zakończoną.

– Zaczekaj! – Przyjaciółka złapała ją za nadgarstek.

– Co jest?

– Powiedz mi, kim jest ten duch, z którym rozmawiasz wieczorami i czasem w ciągu dnia.

Paulina stała najwyraźniej zaskoczona i zszokowana. Nie miała pojęcia, co ma odpowiedzieć.

– Słyszałaś...? – zapytała niepewnie.

– Jak miałam nie słyszeć? Od kilku miesięcy przyłapuję cię na rozmowie z kimś niewidzialnym. Jesteś kimś w rodzaju medium? – Emilia doskonale wiedziała, że tak jest.

Paulina uśmiechnęła się szeroko do przyjaciółki, odgarnęła swoje rude włosy i usiadła na krańcu łóżka.

– Tak. Tym się zajmuję – oznajmiła pospiesznie. – Nie wiedziałam, że to widzisz. Staralam się to ukrywać – dodała.

– Nie jestem głupia...

– Wiem o tym. Po prostu... Nie chciałam, żeby to wyszło na jaw – powiedziała niepewnie.

– Od jak dawna widzisz duchy? – zapytała Emilia wprost. Już dawno planowała o to zapytać.

– Gdy miałam dwanaście, może trzynaście lat, miało miejsce pewne wydarzenie, które spowodowało, że zostałam tak zwanym medium – powiedziała Paulina, po czym, ucinając rozmowę, wyszła pośpiesznie z pokoju, mając nadzieję, że na jej twarzy uśmiech był bardziej widoczny niż napływające do oczu łzy. – Zrobię nam to śniadanie – dodała, krzycząc, gdy dotarła już do kuchni.

Emilia nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Zastanawiała się, co takiego mogło zdarzyć się przyjaciółce, że zaczęła widzieć duchy. Było to dla niej bardzo dziwne. Jednak jeszcze dziwniejsze było to, że nie przestraszyła się tego. Zresztą już od dawna się domyślała.

Postanowiła o tym nie myśleć i włączyła telewizor. Nie było nic ciekawego. Emilia siedziała na łóżku z pilotem w ręku i skakała znudzona po kanałach.

Pokój był urządzony w starym stylu i wyglądał na dość zaniedbany. Na ścianach już odrywała się gdzieś żółta tapeta, a na ziemi brązowy dywan w kwiatki był przesiąknięty rozlaną kiedyś kawą. Telewizor, w który patrzyła teraz Emilia, też nie należał do najnowszych. Wielkie, rozwalające się już pudło z ekranem.

Nagle jeden program zwrócił jej szczególną uwagę. Były to wiadomości sportowe, w których dudniono o przegranej walce pewnego obiecująco zapowiadającego się thai boksera z jakimś Tajlandczykiem. W programie była pokazana powtórka z końcówki tego show. Emilia nigdy nie interesowała się sportami walki, nawet nie lubiła ich oglądać, ale tego dnia coś ją tknęło. Chciała na to patrzeć. Nie wiedziała dlaczego. Spojrzała na leżącego na ziemi mężczyznę. Skądś go znała! Nie mogła sobie tylko przypomnieć skąd. Czyżby to był jej jakiś stary znajomy, o którym zapomniała? Ale jak to możliwe?

Pilotem zatrzymała klatkę w wiadomościach. Ten obraz, nie wiedzieć dlaczego, był dla niej przerażający. Nie chodziło tylko o dwóch mężczyzn na ringu i o to, że jednego z nich skądś najwyraźniej znała. Bardziej skupiła się na wolnym miejscu na widowni. Wszyscy ludzie stali podczas walki i najwyraźniej

dopingowali. Jedno miejsce nie było zajęte, ale... Emilia była pewna, że ktoś tam jest! Nie potrafiła tego wyjaśnić. Miała wrażenie, jakby zaraz się miał w tym miejscu ktoś pojawić i że nikt inny oprócz niej tego nie zobaczy.

Wtedy do pokoju weszła Paulina.

– Co ty robisz? – zapytała i w tej sekundzie spojrzała nerwowo na telewizor.

Z niewiadomych przyczyn odstawiała szybko na biurko obok tacę z bułkami i świeżą kawą rozpuszczalną i podbiegła do szklanego starego pudła, wyłączając je natychmiast.

– Ej! Co to ma znaczyć?! – Emilia nie rozumiała zachowania gospodyni.

– Na dziś koniec telewizji – odparła szybko koleżanka.

– Chciałam ci właśnie pokazać, co dziwnego zauważyłam, a ty wyłączyłaś!

– Nieważne...

– Co się z tobą dzieje? – dziwiła się Emilia.

Paulina spojrzała w stronę telefonu stacjonarnego. Dosłownie dwie sekundy później zadzwonił. Wyglądało, jakby miała przecucie, że tak zaraz będzie.

– Odbierz. To pewnie twoja starsza siostra – oznajmiła Paulina z promiennym uśmiechem na twarzy, odgarniając swoje długie rude włosy.

Emilia najwyraźniej nie widziała w tym nic dziwnego. Podbiegła do telefonu i podniosła uradowana słuchawkę.

– Dorota?

– Tak kochana. Co u ciebie? – Usłyszała siostrę w słuchawce.

– A dobrze – odpowiedziała.

– Znowu nieprzespana noc?

– No niestety.

– Ech, czyli nic nowego.

– A co tam u ciebie? – zapytała Emilia. Uśmiechała się przy tym od ucha do ucha.

– Po staremu. Pracuję dużo i uczę się.

– Aha. A wiesz może co z Pawłem?

– Nie. Codziennie o to pytasz. Gdybym coś wiedziała, powiedziałabym ci – oznajmiła lekko poirytowana Dorota.

– Racja. Ale wiesz... Ja tu już wariuję.

– Domyślam się.

– Chciałabym do ciebie przyjechać – westchnęła Emilia z nadzieją.

– Niedługo, kochana, niedługo.

– Zawsze mnie tym zbywasz!

– Nieprawda. Naprawdę niedługo będziesz mogła wpaść do miasta razem z Pauliną. Albo jeszcze lepiej, ja wpadnę do ciebie. Co ty na to?

– O! Świetnie. Kiedy?

– Nie wiem jeszcze – odparła Dorota. – Niedługo.

– A co u rodziców? – zapytała Emilia ni stąd, ni zowąd.

Rozmowa trwała jeszcze bardzo długo. Obie siostry straciły rachubę czasu. Rozmawiały, jakby nie odzywały się do siebie przez co najmniej kilka miesięcy i miały to nadrobić.

Paulina zadowolona wyszła z pokoju, zabierając śniadanie razem z kawą, które wcześniej przygotowała sobie i dla przyjaciółki. W pełni zadowolona zjadła je sama, uśmiechając się i od czasu do czasu odgarniając swoje rude włosy do tyłu.

\* \* \*

Sytuacja podczas Bitwy o Anglię przeważała cały czas na korzyść Brytyjczyków i ich sojuszników. Tymczasem kilka kilometrów dalej z wraku myśliwca wykopał się Moris. Udało mu się wydostać o własnych siłach, choć ledwo zipał. Czuł, że ma złamaną rękę i musi jak najszybciej udać się do szpitala. Ledwo oddychał przez dym, jaki wydobywał się z jego zniszczonej maszyny. Miał też dziesiątki innych obrażeń, lecz nie przejmował się nimi. Były nieszkodliwe, choć cholernie bolesne. Po wydostaniu się ze swojego myśliwca Moris spojrzął na pozostałe dwa wraki. Był pewny, że jego wrogowie na tym terenie już nie żyją. Nie pofatygował się nawet, żeby to sprawdzić. Złamana ręka zaczęła mu naprawdę dokuczać. Postanowił, że uda się do najbliższego miasta. Gorzej, że nie wiedział, w którym kierunku ma iść. Postanowił zaryzykować i iść po prostu przed siebie, tam gdzie go poniesie los. Ufał swojej intuicji i miał nadzieję, że go i tym razem nie zawiedzie. Cieszył się, że przeżył taki wypadek. Mało kto mógł się poszczycić, że wyszedł prawie cało z takiego czegoś. W dodatku przed zestrzeleniem rozbił dwa nie-



mieckie myśliwce prawie jednocześnie! Nie zapominając oczywiście o wcześniejszych na swoim koncie. Moris był naprawdę z siebie dumny. Lecz duma nie pomagała mu w sprawie bolącej ręki.

Po chwili rozpoczął swój samotny marsz w wybranym kierunku z nadzieją, że uda mu się przeżyć...

\* \* \*

Po kilku godzinach Emilia zakończyła rozmowę telefoniczną z siostrą. Miała co do tego mieszane uczucia. Rozmawiała z Dorotą codziennie, ale nigdy nie dowiadywała się niczego nowego. Zawsze to samo. Nic ciekawego się u niej nie dzieje, dużo pracuje, nic nie wie o chłopaku Emilii, wszyscy się dopytują o siostrę i same takie pierdoły. Dziewczynie coś nie pasowało. To nie były takie rozmowy jak kiedyś. Od kilku miesięcy nic w nich się nie zmieniało. A może Emilia po prostu popadała w paranoję? Nie chciała na razie o tym mówić Paulinie. I tak już ma ją za dziwaczkę. Zresztą vice versa.

Wtedy jej koleżanka przyszła do pokoju.

– I co? Już po rozmowie? – zapytała.

– Tak... – odpowiedziała Emilia, będąc ciągle w dziwnym nastroju, którego nie potrafiła opisać.

– Co tam u niej?

– Dobrze.

– Coś się stało, że taka markotna jesteś?

– Nie. Wszystko w porządku – skłamała Emilia, wracając do swojego łóżka niepewnym krokiem.

Tak naprawdę nic nie było OK. Miała wrażenie, że wariuje. Spędziła w tym mieszkaniu naprawdę dużo czasu, za ścianą mieszkał jakiś duch, jej przyjaciółka to medium, jej chłopak prawdopodobnie nie żyje, te dziwne bezowocne rozmowy z Dorotą, a do tego tamto przerażające uczucie, gdy zobaczyła w telewizji leżącego faceta na ringu i puste siedzenie na trybunach. Nie... Nic nie było OK.

– Widzę, że cię to wszystko przytłacza – powiedziała Paulina, jakby czytała przyjaciółce w myślach. – Chodź tu – dodała, przytulając ją mocno.

Emilia się rozplakała. Całkowicie się rozkleiła.

– Nie wytrzymam tak dłużej. Ta niepewność... – oznajmiła.

– Obiecuję ci. Niedługo to wszystko się skończy.

- Co masz na myśli?
- Zobaczysz – powiedziała pocieszająco.
- Zostaniesz tu ze mną dziś? – zapytała Emilia.
- Nie mogę, przecież wiesz.
- Wiem, wiem. Pracujesz...
- No właśnie.
- Ale nie chcę tu znowu zostać z tym duchem – płakała Emilia.
- Czemu?
- Nie wiesz, co się tu dzieje, jak cię nie ma. Telewizor się sam włącza, mikrofalówka działa, a czasem nawet spadnie coś lub zatrzasną się niespodziewanie drzwi. To jest straszne!
- krzyknęła.
- OK. Dziś tego nie będzie. Obiecuję – powiedziała Paulina, głaszcząc przyjaciółkę pocieszająco po głowie.
- Skąd wiesz?
- Wygonię dziś tego ducha.
- Na zawsze? – Emilia podniosła głowę z nadzieją jak małe dziecko, gdy ktoś obiecuje mu najnowszą zabawkę w sklepie, jeśli tylko będzie grzeczne.

– Zobaczę. Na razie się tym nie przejmuj. Połóż się spać – powiedziała Paulina, po czym wstała i wyszła z pokoju, nim przyjaciółka zdążyła cokolwiek odpowiedzieć.

Emilia słyszała, jak gospodyni weszła do kuchni i zaczęła z kimś rozmawiać, a właściwie krzyczeć. Nie chciała podsłuchiwać. Zbyt bardzo się bała. Nie wiedziała, kim jest ten duch i czy jest przyjaźnie nastawiony. Chyba nie był zły, skoro Paulina z nim potrafiła się dogadać, ale mieszkał w tym domu zdecydowanie zbyt długo. Czego właściwie chciał? Czemu nie dawał jej spokoju? Nie mogła tego pojąć, ale jednak nie uciekała, nie próbowała wyjechać do swojego rodzinnego miasta i wszystko tu zostawić, nie szukała swojego chłopaka, nie wychodziła nawet z domu. Nie wiedziała czemu, ale Paulina miała na nią ogromny wpływ. Nie potrafiła tego opisać, ale uznała, że tak po prostu musi być. Nie chciała nawet tego zmieniać, choć w głębi duszy pragnęła rozwiązać parę niewyjaśnionych i trapiących ją zagadek. Tknęło ją to, co zobaczyła w telewizji. Tym razem nie odważyła się jej włączać. Zbyt bardzo się bała...

\* \* \*

Po półtoragodzinnej wyczerpującej podróży Moris zobaczył z daleka niewielkie miasto. Natychmiast przyspieszył kroku. Nie był pewny, czy to było bardzo zaludnione miejsce, czy jakaś zabudowana wieś z kilkoma osobami. Wszystko jedno. Odnalazł cywilizację. Ręka naprawdę mu dokuczała. Była opuchnięta. Jej objętość stała się dwa razy większa niż jeszcze godzinę temu. Potrzebował wody. Strasznie był spragniony. Oddałby wszystko, żeby napić się choć kilka łyków.

Wody jednak nigdzie po drodze nie było, ale za to po kilku minutach Moris pojawił się wśród zabudowań. Ku swemu zdziwieniu nikogo nie dostrzegł na ulicach. Miasto wydawało się opuszczone. Nie można było nigdzie dojrzeć żywej duszy. Budynki wydawały się dość zadbane i w miarę nowe. To wszystko wyglądało jak z kiegoś filmu, w którym bohater odnajduje opuszczone miasto, choć jeszcze przed chwilą tętniło tu życie. Tak właśnie wyglądało tutaj, jakby w jednej sekundzie wszyscy mieszkańcy nagle wyparowali. Zaniepokoiło to trochę Morisa, lecz się nie poddał. Postanowił wejść do pierwszego lepszego budynku. Jak pomyślał tak też zrobił. Okazało się, że

trafił do opuszczonego baru. Idealnie. Powietrze wewnątrz było duszne. Śmierdziało stęchlizną.

Moris jednak nie zwracał na to uwagi, tak samo jak na porzucane krzesła w kącie lokalu oraz nieposprzątane talerze na stolikach, pełne larw much.

Podszedł do zakurzonej lady. Przeszedł na drugą stronę. Szukał wody lub jakiegoś soku, lecz nic takiego nie było. Zrezygnowany sięgnął po puszkę piwa, która była jedynym dostępnym napojem, i jedną ręką ją otworzył. Druga zaś nie dawała mu spokoju. Ciągle go bolała. Rozejrzył się wokół. Na półkach pełno było butelek i puszek z piwem.

– Kto by to zostawił? – zapytał siebie z niedowierzaniem.

Moris przechylił głowę do tyłu i zaczął łapczywie z zamkniętymi oczami pić otwarty przez niego napój alkoholowy, aby choć trochę ugasić pragnienie. Pierwszy łyk, drugi, trzeci. Coś wspaniałego. Czuł, jak cudowna, gazowana, złota ciesz przechodzi przez jego krtań i jak lekarstwo, które błyskawicznie odnajduje źródło bólu i je uśmierza, tak te kilka łyków walczyło dzielnie z pragnieniem picia.

Nie zastanawiało go w tym momencie, dlaczego i jak dawno ktoś opuścił najwyraźniej w ogromnym pośpiechu to dziwne miejsce.

Otworzył oczy, nadal pijąc piwo z puszki. Wtedy zobaczył coś przeraźliwego. Coś, w co nigdy by nie uwierzył. Nad jego głową przyklejone pazurami do sufitu zwisało „coś”. Dosłownie „coś”.

Moris nie potrafił powiedzieć, co to było. Było różowawe, z czterema łapami zakończonymi ogromnymi szponami, które były wbite w sufit. Wielkością przypominało dużego psa. Nie było jednak włochate i nie miało oczu ani nosa. Miało za to gigantyczne szczęki, a z pyska leciały litry śliny, które zaczęły spadać wprost na twarz Morisa. To właśnie ta ślina śmierdziała stęchlizną, nie to miejsce.

Moris wpadł w panikę i momentalnie przeskoczył przez ladę. Chciał uciec z baru, lecz to coś błyskawicznie zagroziło mu drogę. Przeskoczyło nad nim i już dosłownie ułamek sekundy później stało naprzeciwko niego. Moris zauważył, że w kącie baru są jeszcze dwa takie same stworzenia, tylko ciut mniejsze, a w innym miejscu na suficie jeszcze jedno. Był przerażony i nie wiedział, co zrobić. Wcześniej ich tu nie było,

musiały być niewidzialne lub idealnie się kamuflowały. Wszystkie stwory zaczęły wyć tak jak wilki. No może głośniej i bardziej przeraźliwie. Zastanawiał się, czy były one tutaj cały czas, czy pojawiły się dopiero przed chwilą.

W akcie desperacji Moris wziął stare, drewniane krzesło, które było pod ręką, i rozbił na głowie stwora, który zagradzał mu drogę, po czym zaczął uciekać w głąb pomieszczenia. To coś, jeszcze przed sekundą stojące na czterech łapach, teraz wyprostowało się, podniosło dwie do góry i zaczęło gonić Morisa, ciężko stąpając i rozbijając drewnianą podłogę. Drzazgi rozpryskiwały się na różne strony.

Chłopak wybiegł do kuchni w barze. Stwór za nim. Pozostałe trzy najwyraźniej nie zwracały na to uwagi, bo zostały na swoich miejscach bez ruchu, wyjąć leniwie.

Moris dobiegł do zlewu. Wziął w rękę nóż i tak jak uczyli go na ćwiczeniach w armii, rzucił w stwora. Narzędzie kuchenne pięknie wbiło się w głowę mutantu, lecz ten po chwili sięgnął łapą i je wyjął. Moris desperacko rzucił drugi raz, lecz z takim samym skutkiem. Zrozumiał, że nie ma sensu walczyć. Musiał uciekać. To była jego jedyna możliwość. Wybiegł na zaplecze i o dziwo, znalazł się na ulicy. Uznał, że ma tam więk-



sze szanse. Jakież ogromne zdziwienie pojawiło się na jego spoconej twarzy, gdy zrozumiał, w jakim gigantycznym był błędzie. Ku jego przerażeniu na zewnątrz były dziesiątki takich samych stworów. Niektóre nawet dwa razy większe. Stały i patrzyły na niego bez ruchu, nawet najmniejszego.

– Szlag... – wyszeptał do siebie.

Całe ulice były wypełnione tymi mutantami. Było ich coraz więcej. Moris nie wiedział, skąd się one biorą, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że są do niego wrogo nastawione. Nie miał nawet cienia szans. No bo jakie mógł mieć?

Wtedy niespodziewanie na niebie pojawiły się dziesiątki bombowców. W jednej sekundzie Moris ucieszył się, że je widzi, lecz po chwili żałował, że się pojawiły. Zaczęły bowiem spuszczać bomby na miasteczko. Chciano zniszczyć wszystko, co tu było, każdego stworka. Bombowce były zarówno niemieckie, jak i brytyjskie. Działały razem? Moris nie mógł tego pojąć.

Bombardowanie trwało na całego. Stwory zaczęły skakać do góry, a skakały naprawdę wysoko na swoich sprężystych łapach. Dosięgały samolotów i doprowadzały do katastrof lotniczych. Nim się Moris obejrzał, dwa ze stworów rzuciły się na

niego i powaliły na ziemię. Były zbyt silne i zbyt ciężkie, żeby mógł zrobić cokolwiek. Czuł, że połamały mu zębra. Nie dał rady się bronić. Miał ogromne déjà vu. Wiedział, co się teraz stanie. Ślina mutantów spływała na jego twarz. Nie przejmował się jednak tym. Śniła mu się już kiedyś ta sytuacja. Wiedział, że są to ostatnie sekundy jego życia. Nie mylił się. Wtedy zauważył spadający bombowiec, który leciał prosto na niego. Niecałe pięć sekund później maszyna runęła w ziemię, trafiając idealnie w chłopaka. Wybuchła. Zarówno z tych stworków, jak i z pilota samolotu, i z Morisa nie było co zbierać. Po prostu już nie istnieli. Ich życie właśnie dobiegło końca bezpowrotnie...

\* \* \*

Nikt nigdy miał się nie dowiedzieć, jak dzielny żołnierz Morris zginął tego dnia. Ba... Nikt nawet nie miał się dowiedzieć, że ktoś taki istnieje. W żadnej notatce wojennej nie było zdania na temat tego dziwnego miasteczka, tego człowieka ani tej akcji. Istniała tylko jedna jedyna kopia listu na świecie opisująca to wydarzenie, zatytułowana „Oczyszczanie”. Spoczywała bez-

piecznie strzeżona z wieloma innymi w podziemiach archiwum  
Watykanu przez kolejne osiemdziesiąt lat...